

# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Krajobraz na wyspie Capri.

## Krajobraz na wyspie Capri.

Mała wysepka Capri (Kapri, czyli Kaprea) leżąca w zatoce neapolitańskiej, jest pochodzenia wulkanicznego tak samo, jak sąsiednie wysepki Procida i Ischia. Ta ostatnia, jak wiadomo czy-

telnikom naszym, niedawno straszliwie była zniszczona przez trzęsienie ziemi. Capri ma także wspaniałą roślinność, widoki niezmiernie malownicze, sławną jest szczególnie na tej wyspie prześliczna grota lazuruwa, w której szczególna gra światła nadaje wszystkim przedmiotom barwę błę-

kitną, lazurową. Na wschodniem wybrzeżu wyspy przechowały się zwaliska pałacu, w którym przebywał cesarz rzymski, Tyberyusz, słynny z okrucieństwa. Jest piękny obraz Siemiradzkiego, przedstawiający: „Kapreę za Tyberyusza”.

## KRÓL BOHATER.

Opowiadanie historyczne.

przez starego nauczyciela.

(dależy ciąg).

### II.

Nieczęsto Jan Sobieski gościł w murach żółkiewskiego zamku. Sprawy wojenne, w których zawsze czynny brał udział, trzymały go zdala od ogniska domowego. Był on przedewszystkiem rycerzem, wiernym tradycjom bohaterskiego rodu, a jednak miłował nauki i sztuki piękne, obchodziło go każde znakomitsze odkrycie, każdy nowy utwór literacki; wraz z wojennym rynsztunkiem, woził za sobą wszędzie bibliotekę polową, a gońcy przybywali raz po raz do obozu jego, niosąc najświeższe dzienniki i księgi. Otrzymał on w młodości staranne i wszechstronne wykształcenie, znał dobrze kilka języków obcych, to też i w wieku późniejszym nie zaniedbał nabytych wiadomości, nawet wśród surmy wojennej zajmował się wszystkim, co zwracało na siebie uwagę świata cywilizowanego w owych czasach.

Coraz wyższe dostojeństwa spływały na Jana Sobieskiego, co nawet ściągnęło nań niechęć i zawiść wielu. Król Jan Kazimierz, ożeniony z francuzką, głównie z porady żony usiłował za życia zapewnić następstwo po sobie księciu francuzkiemu. Sobieski zamiar ten popierał, ale znalazło się wielu przeciwnych, a na czele tych malkontentów stanął Jerzy Lubomirski, marszałek koronny, przyszło też w końcu do otwartego rokoszu i wojny domowej. Partya królewska zwyciężyła, Lubomirski zmuszony był do złożenia piastowanych urzędów; łaskę marszałkowską po nim oddał król Janowi Sobieskiemu, wkrótce też powierzył mu i buławę hetmańską, przeznaczoną dla Czarnieckiego, który otrzymał ją w przedśmiertnej godzinie. Powstawano na Sobieskiego, nazywano go zausznikiem królewskim, prześladowcą swobód narodowych, wyrzucano mu, że korzystał z nieszczęścia Lubomirskiego, aby po nim zagarnąć łaskę marszałkowską.

Wkrótce jednak Sobieski odpowiedzieć miał krzykaczom, nie słowami lecz czynem. A najpierw, korzystając z chwili pokoju przy końcu r. 1666

dopełnił dawno uczynionego ślubu i odbył pobożną pielgrzymkę do Rzymu, aby tam w stolicy apostołskiej złożyć dzięki Najwyższemu, który go tak widoczną otaczał opieką i podwakroć cudem prawie od śmierci uchował. Był już wówczas ożeniony z Maryą Kazimierą d'Arquin, wdową po wojewodzie Zamoyskim. Wielce rozmiłowany w nadobnej Francuzce, którą znał dawniej jeszcze młodą dziewczką na dworze królowej Maryi Ludwiki, Sobieski uważał to ożenienie za największe swoje szczęście, lecz w tém się mocno omylił. Marya Kazimiera dumna, próżna, a przytém intrygantka, stała się powodem wielu przykrości dla męża i zatrąła mu ostatnie dni życia.

Po powrocie z Rzymu, objął Sobieski i buławę wielką, osieroconą przez śmierć Rewery Potockiego, a tak stanąwszy na czele sił wojennych w kraju, miał przed sobą pole otwarte i mógł rozwinąć niepospolite zdolności i zajaśnieć rycerskim duchem, odziedziczonym po sławnych przodkach. A właśnie nowe, groźne chmury zbierały się nad krajem. Turcyja, połączywszy się z atamanem kozackim, Doroszeńką, korzystając z domowych zamieszek w Polsce, wystąpiła znowu do wojny i wysłała naprzód chmary tatarstwa, aby jęj drogę torowały. Tymczasem w kraju nikt ani myślał o obronie. Na sejmie zwołanym na początku roku 1667, zamiast zbierać jaknajprędzej nowe siły, uchwalono zwiniecie wojska do 12,000, z obawy, aby król nie wystąpił znów z kandydatem do tronu, a szlachta wołała doczekać się bezkrólewia i hałaśliwów elekcji. Utrzymywano nawet, że stronnictwo dworu naumyślnie rozpущa fałszywe pogłoski o buntach kozackich i tureckich pogroźkach, aby pod pokrywką tego niebezpieczeństwa zebrać wojsko i zamysły królewskie przeprowadzić. Sobieski w tych słowach pisał o tém do żony: „Každy rozważywszy śmiać się musi, że Polacy poszaleli, gdy pod taki czas, gdzie tylo troje trzeba było zaciągnąć, oni i te zwijają wojska. Zginiemy tedy pewnie od Turków; nadzieja jedyna w Panu Bogu, że On za nas wojować będzie”.

I w rzeczy samėj, zguba zdawała się nieuchronną, a ocalenie, którego narzędziem stał się Jan Sobieski, prawdziwym cudem Opatrzności nazwać można. Król Jan Kazimierz, strapiony po śmierci żony, która go podtrzymywała swoją energią, znękanym niepowodzeniem i niechęcią narodu, nie umiał sobie radzić w tak groźnym położeniu. Zwoławszy radę, która nie umiała obmyśleć żadnej skutecznej pomocy, takie wysłał zlecenie hetmanowi Sobieskiemu: „Niech sam myśli, aby było dobrze, bo tu niemasz ani pieniędzy, ani sukursu żadnego, którego się niech pewnie nie spodziewa”. Król nie chciał nawet zwoływać pospo-

litego ruszenia, ażeby nie podać rokoszanom sposobności do nowych zawichrzeń, od państw ościennych nie można się było spodziewać posiłków. Całe więc ciężkie brzemie obrony zagrożonej ojczyzny zważyło się na Sobieskiego, a on się pod niem nie ugiął i umiał wszystko obmyślić „aby było dobrze“.

Wyprawiwszy żonę do Francji, hetman udał się do obozu, rozłożonego w okolicy Lwowa. Nieliczne wojsko było przytęm w najopłakańszym stanie: głodne, obdarte, oddawna już darmo się upominało o żołd, gdyż skarbiec królewski był próżny, a chociaż sejm wyznaczył na to podatki, nie łatwo je było odebrać. Hetman Dymitr Wiśniowiecki, żywiący osobistą niechęć dla Sobieskiego, wymówił się chorobą i nie przybył do obozu, wielu innych poszło za tym przykładem, tylko Stanisław Jabłonowski, przyjaciel Jana od lat młodocianych, wytrwał przy nim wiernie. „Ciężkoż to hetmanić w Polsce! pisał Sobieski do żony, ostatnią chyba na pożywienie tych ludzi przyjdzie zastawić koszulę, bo wszyscy się rozjechali, a król daleko. Mnie tylko jednemu głowę gryźć będą“.

Nie były to czeze słowa; Sobieski, narażając życie dla ziemi rodzinną, nie pożałował dla niej i mienia. Nie dostał pieniędzy, ani ze skarbcza królewskiego, ani z funduszów narodowych, lecz pozostawiał dobra, a nawet srebra i klejnoty, zebrał co mógł gotówki, wypróżnił śpichrze swoje i żywił, odziewał żołnierzy, wypłacał im żołd zaległy, własnym staraniem i kosztem własnym postawił na koniec jakkolwiek wojsko na nogi. Trzeba tu było, jak sam pisał, „z niczego wszystko zrobić“.

Tymczasem czambuły \*) tatarskie przelatywały już po równinach podolskich, siejąc strach i zniszczenie, a z Turcji coraz groźniejsze dochodziły wieści. Mówiono, iż sułtan Mahomet IV wraz z chanami Gałgą i Nuradynem gromadzą tak liczne ordy, jakich jeszcze nigdy na ziemi polskiej nie widziano. Zuchwały Turczyn odgrażał się, iż zagarnie Ukrainę, żądał ogromnego haraczu dla Tatarów, zbuntowane kozactwo związało się także z wrogiem, a i gospodarowie multański i wołoski pomoc mu przyrzekli. Straszliwą tę nawałę obliczano na 150,000 ludzi, Sobieski miał wszystkiego 12,000 wojska, do którego dodał hufce, własnym kosztem zaciągnięte. Nie zawahał się jednak, nie cofnął, i z tą garstką wystąpił przeciw dziesięć kroć liczniejszemu nieprzyjacielowi. Nieustraszony ryccerz przypomniał sobie zapewne grobowiec pradziada i napis na nim symboliczny i postanowił, jeśli mu nie będzie dano zostać jego mścicielem, życie położyć także na ołtarzu ojczyzny.

\*) Czambuł, mały, szybki oddział tatarski, napadający zniemacka.

Ze stolicy przysłano mu instrukcją, aby się oszańcował z wojskiem w silnym obozie, ale Sobieski wiedział, że tym sposobem zgubi i siebie i kraj cały, gdyż nieprzyjaciel byłby go niezawodnie zatrzymał w tej matni i rozpuścił krwawe zagony na wszystkie strony. Ułożył więc plan wojenny, plan śmiały i genialny, który on jeden był w stanie wykonać. Rozdrobił nieliczną swoją armię na małe hufce, część jazdy pchnął na tyły nieprzyjaciela, inne oddziały poustawiał w różnych miejscach, przecinając mu drogę, sam zaś, pozostawiając sobie tylko 3,000 ludzi, rozłożył się najprzód pod murami Kamieńca.

Ordy tatarskie, zaskoczone z nienacka z tyłu stron naraz, zaczęły się trwożyć i mieszać, gospodarowie, widząc obóz Sobieskiego blisko swoich granic, zwlekali z pomocą, dzielne oddziały polskie na kilku punktach zadały klęskę Tatarom, a ci, zmyleni tym zręcznym manewrem, sądzili, że mają do czynienia z siłami daleko większemi. Hetman zaś czekał na nich pod Kamieńcem, gdyż nawała, nadciągająca od Dniestru, zrazu w tę stronę zmierzała. Lecz nagle chmury ordyńców zwróciły się na północ, zapędziły na Ruś, zniszczyły do szczętu dobra złoczowskie i rozlewały się, jak straszliwa powódź, na wszystkie strony.

Na wieść o tém, Sobieski z szybkością nieopętą w przeciągu dni kilku przerzucił się z całym obozem swoim na drugi kraniec Podola i stanął pod Podhajcami, własnym swém ciałem niejako zagradzając drogę pohaństwu. Miasto Podhajce, majątność Potockich, było wówczas dość silnie obwarowane, murami i szańcami otoczone. Jak Leonidas pod Termopilami, tak hetman Sobieski z nieliczną garstką walecznych postanowił tu zwyciężyć lub zginąć, jak pisał: „aby i po śmierci ta po mnie została pamięć, że cierpiełem jeden za tysiące“. Wódz francuzki Kondeusz, ten sam, który już niegdyś w polskiem pacholeciu w Paryżu przeczuwał wielkie zdolności wojenne, zasłyszawszy o tym planie Sobieskiego, uważał go za bohaterkie szaleństwo, które co najwyżej na dni kilka opóźni tylko ostateczną zgubę Polski.

Naród cały w trwożnym oczekiwaniu zwracał oczy na Podhajce, we wszystkich kościołach zanoszono modły do Boga o miłosierdzie i ratunek, król w tej strasznej ostateczności odważył się na koniec, nie bacząc już na nic, zwołać pospolite ruszenie, ale czyż pomoc ta mogła na czas nadążyć? Nie doczekał się jęj dzielny Jan Sobieski, jak od początku, tak i teraz, sam sobie radził, sam stawiał czoło wszystkiemu. Na domiar złego, wojsko, widząc się zagrożonem tak okropnie, zaczęło się burzyć, lecz hetman, który młodzieńcem niegdyś umiał podnosić upadającego ducha żołnierzy, i te-

raz przemówił do nich po swojemu i na głos jego ustąpiła trwoga i nowy zapal ożywił szeregi. Nie dość na tém: potrafił on nawet porwać za sobą okolicznych chłopów, ciurów i wszelkiego rodzaju hałastrę, a tym sposobem utworzył dokoła obozu, jakby drugie wojsko daleko liczniejsze, uzbrojone w siekiery, kosy, dzidy i drągi.

Tatarzy nie wątpili, że szybko się załatwią z tą niespodziewaną przeszkodą, która im tamowała przystęp do środka kraju i wnet podstąpili z wielką chorągwią chańską o trzech ogonach, przy dźwiękach muzyki janczarskiej, zalewając błonia podhajeckie. Tu dopiero rozpoczęła się walka podjazdowa, uparta, zacięta, trwająca dni siedemnaście. Tatarzy przypuszczali szturmy do okopów, lecz odpierani musieli się cofać, Sobieski zaś niepokoił ich nieustannie wycieczkami, w których mu dzielnie dopomagały owe gromady chłopstwa i luzaków. Wpadając w różne zasadzki, tatarstwo od tej małej garstki wojska ucierpiało tyle w ciągu kilkunastu dni, że owe niezliczone ich szeregi znacznie się przerzedziły. Tymczasem oddziały polskie, porozrzucane na różnych punktach przez hetmana na początku wyprawy, ściągały jednocześnie ze wszystkich stron do głównego obozu i gotowały się natrzeć na nieprzyjaciela z boków i od tyłów. Dnia siedemnastego Października wystąpił Sobieski do walnej bitwy. Z okrzykiem wściekłości rzucili się Tatarzy na tę garstkę walecznych, w nadziei, iż ją zgniotą odrazu, lecz niespodziane natarcie przybywających na pomoc oddziałów jazdy trwogę w nich wznieciło; długo ważyło się zwycięztwo, wkońcu szeregi nieprzyjacielskie złamane pierzchać zaczęły w nieładzie, 20,000 ordy i kozactwa padło dnia tego na polach podhajeckich. Sobieski rzucił się w pogoń za uciekającym wrogiem, tryumf jego był zupełny.

Teraz już szybko postępowały po sobie wypadki, a wszystkie składały się pomyślnie dla Polski. Najpierw doszła wieść do chanów tatarskich, że oddziały tatarskie, nieprzyjazne atamanowi Doroszeńce, który się złączył z Tatarami, zaczęły pustoszyć siedliska ich w Krymie. Zrodziła się ztąd wzajemna nieufność pomiędzy sprzymierzonymi. Opanowała ich także obawa, aby król nie zdążył zebrać pospolitego ruszenia i nie nadciągnął z wielką siłą na pomoc Sobieskiemu. Nie namyślając się więc długo, wysłano posłów z obozu tatarskiego, prosząc o pokój i ofiarując przymierze Rzeczypospolitej, a ataman kozacki upokorzył się i błagał o przebaczenie.

Hetman wyprawiał gońca z wieścią radosną do króla, drugiego do żony, rozesłał też uniwersał po całym kraju, ogłaszając zwycięztwo wojsk swoich

i zawarcie korzystnego pokoju, sam zaś przerzucił się znów z błyskawiczną chyżością nad Dniestr, do Ujścia, aby nie spuszczać z oka cofających się zagonów tatarskich i pilnować, aby żadnych szkód nie wyrządzały. I znów, zasłoniwszy kraj własną pierśią od napaści wroga, zastawił Jan Sobieski dobra, sprzedawał srebra i klejnoty, aby wojsko znużone przyodziać i nakarmić, i wypłacić chanom tatarskim przyobiecany przy układach pokojowych okup. „Nas tylko samych zwojowali” pisał do żony, bo i dobra jego straszliwie były przez Tatarów spustoszone i zrabowane.

We wszystkich kościołach polskich śpiewano dziękczynne Te Deum, król Jan Kazimierz leżał krzyżem w farze warszawskiej, sława naszego bohatera brzmiała w całej Europie, a ukorzony pod Podhajcami Turczyn przezwiał go „lwem Lechistanu”. W tymże samym czasie spotkała Jana Sobieskiego nowa pociecha, narodził mu się syn pierworodny w Paryżu, gdzie zawsze jeszcze przebywała Marya Kazimiera. Dziecię to trzymał do chrztu król francuzki, Ludwik XIV, z owdowiałą królową angielską Henryetą, nadano mu imię Jakób Ludwik, na cześć dziadka i ojca chrzestnego.

W Marcu r. 1668 zwycięzki hetman przybył na sejm do Warszawy, aby zdać sprawę narodowi z czynności swojej. Przyjęto go, jak tryumfatora. Pomimo ogromnych wydatków, jakiełożył na potrzeby kraju, Sobieski wystąpił z niezwykłą okazałością. Towarzyszył mu wierny przyjaciel Stanisław Jabłonowski, wojewoda ruski i kilku innych magnatów. Orszak jego był tak wspaniały, że nie ustępował nawet królewskiemu. Składał się z 3,000 konnych, a pomnażał się gromadkami szlachty, które się przyłączały do niego po ulicach Warszawy. Przed karetą hetmańską szły rotty pancerne i usarskie z rozwiniętymi chorągiewami, potem liczny tłum paziów i dworskiej służby, a z tyłu pochód zamykały oddziały gwardyi, dragonów, hajduków węgierskich, janczarów, wołochów i tatarów.

Jan Sobieski, stanąwszy w obec sejmu, przemówił z powagą i prostotą, opowiedział cały przebieg wojny, nie podnosząc wcale własnych zasług, jaknajmniej wspominając o sobie, a zakończył temi słowami, które wszystkich do głębi duszy wzruszyły: „Pomyślność nasza świadczy o potędze i dobroci Boga. Jakże nie uznać wielkości Jego, który umiał przy tak słabych środkach dokonać tyle cudów! Wybawił nas, oby też udzielił nam umiarkowania, zgody i potęgi!”

(D. c. n.)

## BIEDNE CHŁOPIĘ.

(zagadka).

— Oto ostatni kęs chleba,  
Daję ci, synku mój mały,  
O nim jedynie żyć trzeba,  
Grzyby zbierając dzień cały.

Grzyby zaniesiesz do miasta.  
Chleba dostaniesz tam za nie,  
Jam jest nieszczęsna niewiasta,  
Siły mi pójść tam nie stanie —

Idzie po grzyby chłopczyna,  
Chleba trzymając kromeczkę,  
W której nadzieja jedyna  
Dziś się pożywić troszeczkę.

Boi się puścić z rączyny,  
Aby nie zgubić po drodze,  
I nie chce zjeść tej kruszyny,  
Chociaż głód gnębi go srodze.

Gdyż, jeśli grzybów nie sprzeda,  
Lepiej tę kromkę do chatki,  
Kędy tak ciężka jest bieda,  
Odnieść napowrót dla matki.

Głodny, znużony chłopczyna,  
Usiadł, by spocząć na łące,  
Drzemać nieznacznie zaczyna,  
Ciągłe trzymając chleb w rączce.

Nadszedł wtém kogut leśnika,  
Cicho pochwyti chleb zdradnie,  
I już przez płoty umyka,  
Aż ze zdobyczą przepadnie.

Bogacz, gdy nagle wśród graczy  
Krocie mu liczne stopniały,  
Większej nie czuje rozpaczy,  
Niż ten chłopaczek zgłodniały.

W szale boleści i gniewu,  
Próżno skoczywszy za ptakiem,  
Chłopak padł głową ku drzewu  
Na wpół nieżywy pod krzakiem,

Kiedy zaś ocknął się mały,  
Dzieci zobaczył w około,  
Które chusteczki maczały,  
Wodą zwilżając mu czoło.

Były to dzieci dziedzica,  
Sprawę zbadały dokładnie,  
Łezki otarły mu z lica,  
Dały koguta co kradnie.

(Wprzód go kupiwszy) więc wkoło  
Dziękując, z darem dla chatki,  
Z chlebem też całym, wesoło,  
Chłopak powracał do matki.

Dzieci też skacząc wracali,  
A jedno z drugiem coś gwarzy,  
Mówiąc, że dobry dzień miały,  
Jak jeden z rzymskich cesarzy.  
(pytanie: który?).

## PAMIĘTNIK MŁODEJ DZIEWCZYNY,

z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Tu przełożona zatrzymała się, widocznie nie czuła odwagi wypowiedzieć tego, co miała na myśli, a ja po raz pierwszy pomyślałam, że Janek nie mógł na czas nieograniczony pozostać ze mną na pensyi i z bijącym sercem słuchałam, jaką radę miała dla mnie pani Dangerfield.

— Chłopczyka — rzekła nareszcie po chwili wahania — najlepiej zdaniem mojem umieścić w jakim przytułku dla sierot.

— W przytułku! Janka! — wykrzyknęłam rozpaczliwym głosem. Nieraz mi się zdarzało spotykać biedne sierotki z przytułku, a teraz, gdy wyobraźnia przedstawiła mi Janka pośród tych dzieci, żyjących z jałmużny, serce moje ścisnęło się żalem niewysłowionym! Czuję jednak, że niesłusznie oburzałam się na przełożoną; ona nie miała dzieci, ani młodszego braciszka, nie mogła rozumieć tego, co się w sercu mojem działo, a że nie była bogata, więc dość czyniła i tak, ofiarując mi naukę bezpłatnie w swoim zakładzie.

— Moje dziecko — mówiła dalej pani Dangerfield — przykro mi to bardzo, ale sama przecie pojmujesz, że to dziecko pozostać tu nie może. Cóż z niem poczniesz, jeśli go nie chcesz oddać do przytułku?

— Nigdy, nigdy tego nie zrobię — powtarzałam — wolałabym umrzeć — a mówiąc to, zanioślam się płaczem i pobiegłam pędem do swego pokoju, jak gdybym chciała bronić biednego braciszka przed okrucieństwem pani Dangerfield. Przełożona przelęknęła się zapewne mego uniesienia, a może i żal jej się zrobiło, bo niezawodnie dobre miała serce, przyszła więc za mną do mego pokoju i usiadła na krześle, czekając cierpliwie, aż znów będę w stanie z nią mówić rozsądnie. Zbliżyłam się do łóżka i pochyliłam się nad malcem, powstrzymując łkanie, aby go nie przebudzić; poruszył się jednak, otworzył oczki na wpół senne, ale tym razem nie skrzywił się, jak zwykle, na mój widok, tylko wyciągnął rączki i zaczął wołać:

— Mamo, mamo, tatko, chodźcie do Janka!

O! cóż to za głosik był żaloszny, a nikt na świecie, oprócz mnie jednéj, nie mógł na to wołanie

biednego dziecka odpowiedzieć! Pochwyciłam go na ręce i ściszałam, i całowałam z taką czułością, jakiej nigdy jeszcze nikomu nie okazałam. On miał iść do przytułku! mój braciszek kochany, jedyny mój braciszek! Nie, nie, póki ja żyję, póki mam ręce zdrowe, pójdę z nim raczej w świat daleki, nie wyciągnę tych rąk po jałmużnę, ale pracować będę ciężko, od rana do nocy, i wyżywię biedną dziecinę.

Malec usnął na moich rękach, położyłam go ostrożnie, nie płakałam już, nie wiem, co by mi była więcej powiedziała przełożona, która wciąż jeszcze siedziała nieruchoma w moim pokoiku, gdy wtém drzwi odchyliły się cichutko i Jania stanęła na progu. W oczach jęj był jakiś wyraz niezwykłego ożywienia.

— Proszę pani — rzekła do przełożonej — pan jeden chce się z panią widzieć, czeka na dole.

Pani Dangerfield nie poruszyła się z miejsca.

— Dziś już za późno — odparła sucho — niech przyjdzie jutro rano.

— O, proszę pani — mówiła Jania błagalnym tonem — niech pani zejdzie na chwilkę tylko; on ma bardzo ważny interes, to mój znajomy.

— Twój znajomy? cóż to za jeden i czego chce?

— To jest dzierzawca, sąsiad mojej matki, bardzo zacny człowiek — mówiła Jania z żywością — pisałam właśnie do mamy dwa dni temu, zapytując... ale później się to wyjaśni. Otóż on sam przyjechał w odpowiedzi na mój list.

— Ale cóż to wszystko znaczy? ja nigdy niktogo obcego nie przyjmuję o tak późnej godzinie — bronila się jeszcze przełożona.

— O, proszę pani, niech go pani dziś przyjmie — nalegała Jania z taką natarczywością, że mnie to już nawet zaczynało zastanawiać, chociaż tyle kłopotów miałam na głowie — to taki dobry, zacny człowiek, wszyscy w naszej okolicy szanują starego Rubena Mortona.

Gdy Jania wymówiła to nazwisko, mnie jakby coś tknęło. Zaczęłam sobie przypominać, gdzie ja też mogłam je słyszeć? A wtém przez drzwi odchylone odezwał się głos nieśmiały:

— Chciéj mnie pani wysłuchać łaskawie; jestem Ruben Morton, do usług.

— Czegoż pan sobie życzysz?

Głos przełożonej wyrażał oburzenie najwyższe. Nigdy nie zapomnę, jakim wzrokiem zmierzyła intruza, który poważył się przekroczyć wszelkie formy etykiety i stanąć przed obliczem jęj w niewłaściwej godzinie i niewłaściwym miejscu. Nieznajomy był to sędziwy człowiek, ubrany bardzo skromnie, prawie ubogo.

— Jeżeli pani jesteś przełożoną tęg pensyi —

mówił, kłaniając się z uszanowaniem przed panią Dangerfield — racz mi powiedzieć, gdzie są dzieci Emilii Morton... chcę powiedzieć pani pułkownikowej Linington.

Pani Dangerfield zdumiona wskazała mu mnie i śpiącego Janka. Staruszek spojrział na mnie, lecz dłużej wzrok zatrzymał na ładnej twarzyczce malca, zarumienionej we śnie i okolonęj bujnemi, jasnymi kędziorami.

— O, Emilciu, droga siostrzyczko! — wyszeptał, i wzruszony, zapominając zupełnie o obecności przełożonej, pan Morton usiadł w nogach łóżka, spojrział raz jeszcze na Janka i ukrywając twarz w dłoniach, zaszlochał na głos. Wyjął potém kolorową chustkę z kieszeni i zaczął oczy obcierać, a smutek jego był tak szczery i rozrzuwający, że nawet pani Dangerfield przerwać mu nie śmiała. Jania miała także łzy w oczach, ale i uśmiechała się zarazem, patrząc na mnie.

— Przepraszam panią — rzekł wreszcie starzec, powstając i zwracając się do przełożonej — nieboszczka Emilcia... chcę powiedzieć, pani pułkownikowa, była blizką moją krewną i przyjechałam tu po to, aby zabrać do siebie jęj dzieci — i mówiąc to, wyciągnął ręce do Janka, jakby chciał go natychmiast unieść z sobą. Malec przebudził się i zaczął płakać. Odsunęłam staruszkę i wzięłam dziecko na ręce, tuląc je i pieszcząc.

— A więc to ta panienka jest?... — zapytał Ruben Morton, jak gdyby mię teraz dopiero spostrzegł.

— Ja jestem Emilia Linington.

— Emilia? — powtórzył, wpatrując się we mnie — ale niepodobna do nięj wcale, nic a nic niepodobna — znowu otarł sobie oczy chustką kolorową, potém wziął mnie za rękę i rzekł z prostotą:

— Jestem krewnym twojęg matki, panno Emilio, i kochałem ją bardzo; gdy wyszła za mąż i wyjechała, nie widziałem jęj więcej. Jestem niezona ty i nie mam dzieci. Jeśli się na to zgodzisz, będę przybranym ojcem twoim i twego braciszka. Nie jestem bogaty, ale chętnie i całęm sercem podzielę się z wami wszystkięm, co posiadam. Czy zgadzasz się, Emilciu?

Z dziwną czułością wymawiał to imię. Spojrzałam mu w oczy; wyraz twarzy tego staruszkę, który tak bardzo kochał moję matkę, odrazu wzbudził we mnie zaufanie. Nawet Janek uśmiechnął się do niego i nie grymasił, gdy go pogładził po główce. Ja zaś podałam rękę zacnemu człowiekowi, jednemu opiekunowi naszemu i rzekłam:

— Pojedziemy z tobą, wuju.

## III.

## P o d r ó ż .

Ranek był zimny, ale pogodny i jasny, siedzieliśmy z wujem Rubenem w wagonie kolei żelaznej; mnie się dostało miejsce naprzeciw wiatru, ostry podmuch mroził mi twarz, rozwiewał włosy i wstażki od kapelusza, czułam, że nos mój musi być czerwony, jak burak, oczy napełniały się łzami, ale nie było innego miejsca, pełno osób siedziało w wagonie, a w jednym kąciku zacisznym usadowił się braciszek mój Janek. Nie mogłam przecież zepchnąć z tego miejsca biednego dziecka chorowitego, nawykłego do ciepłego klimatu, aby mnie było wygodniej. Zasupełam więc na twarz czarną woalkę i otuliłam się, jak mogłam, płaszczykiem. Janek kręcił się na wszystkie strony, nadąsany i skrzywiony. Teraz już nie odwracał się odemnie, znosił spokojnie, gdym go ubierała i miała o nim staranie, ale za nic nie chciał mnie pocałować. Ile razy go o to prosiłam, odpowiadał, kręcąc główką i krzywiąc się po swojemu, że „siostrzyczka Emilcia taka brzydka!” Z trudnością wówczas gniew powstrzymywałam, zdawało mi się czasem, że go niecierpię, ale widok téj bladéj, chorowitéj twarzyczki, rozbrajał mię po chwili. Stawali mi w myśli ci, których oczy moje nie oglądały nigdy, i ten grób samotny na wyspie Ś-ěj Heleny. Nie mogłam mieć żalu do téj dzieciny, która mi pozostała, jako spuścizna jedyna, po utraconych rodzicach.

Dobry nasz wuj siedział przy nas, mało mówił, ale nie spuszczał nas z oczu, częściej jednak wpatrywał się w Janka. Wuj nasz wyglądał bardzo poczciwie, serce moje przepełnione było wdzięcznością dla niego, tymczasem, wstyd mi to wyznać dzisiaj, doznawałam jakiegoś niemłego uczucia, gdy osoby, siedzące z nami w wagonie, spoglądały na nas i na niego. Zdawało mi się, że w oczach ich czytam pewne zdziwienie na widok dzieci takich, jak my, jadących pod opieką tego staruszka, bo powierzchowność wuja Rubena nie była wykwintna. Za to z dumą i zadowoleniem spostrzegłam, że Janek zwracał na siebie uwagę powszechną. Bo też śliczny to był chłopczyca, gdy na chwilę przestał się krzywić i dąsać; jasne, długie jego kędziory z takim wdziękiem spadały na czarną, jak noc, żałobną sukienkę. Oboje byliśmy ubrani w grubą żałobę; do dziś nie wiem, kto o tém pamiętał, aby ją sprawić dla nas. Oswoiłam się z nią tak prędko! już nawet i ze smutkiem swoim zaczynałam się oswajać.

Siedząc naprzeciw Janka, raz po raz próbowałam go zabawić, a nie łatwa to była sprawa. Ale im większą niechęć napotykałam w malcu, tém

usilniej starałam się to uczucie jego przez wyciężyć, miałam zawsze dużo wrodzonego uporu. Czasem też udawało mi się wywołać uśmiech na bladą twarzyczką.

— Ach, jaki on podobny do matki! — szeptał wówczas z westchnieniem poczciwy wuj Ruben — będziesz już teraz grzeczny, Janeczku?

Ale ta wzmianka o grzeczności obrażała widocznie pana Jana, gdyż natychmiast przybierał znów minkę nadąsaną i nieprędko dawał się rozmarszczyć. Przybyliśmy nakoniec do Southamptonu. Na widok morza i wysokich masztów okrętowych, które ukazują się zdaleka podróżnym jadącym koleją, chłopczyk zerwał się, oczęta mu zabłyśły.

— Ja chcę do domu! — wołał — ja chcę płynąć okrętem przez morze błękitne, do mamy, do tatki, do niani...

— Ale nie otrzymując żadnej odpowiedzi, zaczął płakać, grymasić, odpychać i mnie, i wuja, gdyśmy usiłowali go uspokoić. Mnie wówczas prawdziwa jakaś rozpacz ogarnęła.

— Wuju — rzekłam — możeby lepiej było, żebyś nas nie zabierał do siebie, mybyśmy sobie i sami dali rady na świecie, pocóż ci mamy tyle kłopotu przyczyniać? Ja jestem zdrowa i silna, potrafię pracować, znosić głód i zimno, a w najgorszym razie — głos mój drżał, gdym to mówiła — w najgorszym razie powrócę na pensję pani Dangerfield i będę półstypendystką.

— A Janek?

— Jankowi będzie lepiej samemu, on nie lubi brzydkiej siostrzyczki.

Mówiłam to przez łzy, głosem rozżalonym, do prawdy, nie pojmuję, jak mogłam być tak dziecinną. Zdziwiłam się niezmiernie spojrzawszy na Janka. Malec przestał się mazać, wpatrywał się we mnie takim wzrokiem, jakiego nigdy jeszcze u niego nie dostrzegłam. Był w tém spojrzeniu wyraz jakiś błagalny, była ufność, czułość prawie. Dziecko nie może tak patrzeć na osobę, której nie lubi. To mię rozrzewniło, chociaż słowa, wymówione przytém przez malca, stanowiły sprzeczność z wyrazem oczu.

— Siostrzyczka Emilcia nieprawdę mówi — rzekł sucho.

— Ja zawsze mówię prawdę — odparłam, udając jeszcze zagniewanie — widzę, Janku, że ci źle ze mną i chciałabym, żeby mnie kto zabrał, żebyś nie potrzebował na mnie patrzeć.

On już nic nie powiedział, tylko ciągle wpatrywał się we mnie dużemi, wyrazistemi oczyma. Ozwał się gwizd lokomotywy, pociąg coraz wolniej się posuwał i stanął wreszcie na stacyi. Kondu-

ktor otworzył drzwiczki wagonu, a w tój samėj chwili ukazał się w nich obcy jakiś człowiek.

— Dzień dobry, panie Mortonie — rzekł do wuja — jakże się pan miewa? przywiozłeś pan dzieci; biedactwa! Czekam tu właśnie na państwa, proszę panienki.

I mówiąc to, wyciągnął obie ręce, ażeby mię z wagonu wysadzić. W tój samėj chwili małe rączka owinęły się na mojej szyi, powstrzymując mię gwałtem i Janek wołał płaczkliwie:

— Nie, nie, ja już będę grzeczny, bardzo grzeczny, tylko proszę nie zabierać siostrzyczki Emilci! Ja nie chcę sam zostać bez Emilci!

Zacząłam go upewniać, że i on pójdzie ze mną, ale nie chciał mię wypuścić z objęcia i razem nas oboje wydobyto z wagonu. Gdyśmy usiedli obok siebie, na podróznym naszym tłómaczku, malec znowu mię objął za szyję i z własnej ochoty pocałował. Serce moje uderzyło gwałtownie, objęłam braciszka ramieniem, powtarzając, że go nie opuszczę; tłumy podróznym przebiegały obok nas, posługacze uwijali się z pakunkami, a wśród tego zamętu i hałasu dwoje sierot nie widziało nic, oprócz siebie, a ja uczułam się pocieszoną...

Człowiek, który nas wysadzał z wagonu w Southamptonie, często będzie wspomniany w dalszym ciągu tego opowiadania, muszę też dokładniej trochę opisać jego powierzchowność. Wyglądał lepiej, niż prosty robotnik, ubiór jego, niewykwintny, był jednak bardzo schludny, pamiętam, że dnia tego miał długi surdut, trochę wytarty, staroświecką kamizelkę, a na szyi chustkę zawiązaną w dużą kokardę. Twarz jego była czerstwa, rumiana, oczy przenikliwe, brwi krzaczyste, a czoło wysokie, otwarte. Zbliżał się zawsze do wuja z czapką w rękę, z uszanowaniem, jakie ludzie niższego stanu okazują wyższym od siebie.

— Spodziewałem się, panie Mortonie, że pan dziś przyjedziesz — mówił — i dziedzic także; powiedział mi więc, abym państwa zabrał na nasz parowiec. Postaram się, żeby dzieciom było dobrze i wygodnie.

— Dziękuję ci, mój poczciwy Eliaszu, bardzo dziękuję — odrzekł wuj, serdecznym, poufałym tonem i zaczął zbierać nasze pakunki, a ja, chcąc mu o ile możności oszczędzić trudu i kłopotu, sama się do tego zabrałam, dopomógł mi najczynniej Eliasz; dowiedziałam się później, iż nazwisko jego było Lee (Li).

W parę godzin siedzieliśmy już z Jankiem na pokładzie małego parowca, oboje zmęczeni, zziębnięci i głodni. Miałam wielką ochotę do płaczu, ale wstrzymywałam się, patrząc na braciszka skrzywionego i rozmazanego, bo nie mogłam go

przecież naśladować. Wyobraźnia moja przedstawiła mi tę Emilkę Linington, która tak niedawno siadywała w salonie pani Dangerfield na wykwinnych fotelach, ustrojona w suknię jedwabną, w kosztowne ozdoby i porównywałam do niej dzisiejszą Emilkę w czarnej, żalobnej sukience, tulącą rozkapryszone dziecko, wmawiającą i w siebie i w braciszka, że im obojgu nie zimno, że nie są wcale głodni i na niczem im zgoła nie zbywa. Zdawało mi się, iż te dwie moje osobistości, dawniejsza i teraźniejsza, żadnego pomiędzy sobą nie mają związku.

Nadszedł wreszcie wuj Ruben, który załatwił jakieś interesa na mieście i przyniósł, jak mówił, „zapasy żywności dla dzieci”. Niestety! ta żywność, którą wuj uważał zapewne za jedynie stosowną dla młodego wieku, składała się z lichych ciastek, pierników i lodowatego cukru. Staruszek przypomniał sobie zapewne, że takie rzeczy smakowały mu w dzieciństwie, ale nie pomyślał o innych pokarmach, które spożywał jednocześnie. Jestem przekonana, że uczynił to z najlepszego serca, to też oddawszy mi paczkę, dla nas przeznaczoną, sam najspokojniej rozwinął drugą i wyjął chleb i ser z paczki, którą przyniósł dla siebie.

Zgłodniały Janek przełknął jedno ciastko, resztę odepchnął i rozplakał się, wołając, że chce obiadu. Sama byłabym w milczeniu zniosła niedostatek najcięższy, aby nie przyczyniać kosztów wujowi, widziałam bowiem aż nadto dobrze, iż nie był bogaty, ale trudnoż było zagłodzić biednego malca. Zacząłam więc przemyśliwać nad tém, jaki pokarm jest najtańszy i odważyłam się nakoniec pójść do wuja i poprosić, aby był tak dobry i posłał kogo do miasta, zanim parowiec odpłynie, po chleb z masłem i mleko dla nas, bo bardzo jesteśmy głodni. Wuj spojrział na mnie przerażony, uderzył się po czole, przywołał śpiesznie Eliasza i wysypał mu w rękę wszystkie pieniądze, jakie miał w woreczku. Niedużo tam tego było, sama drobna moneta.

— Biegnij, przyjacielu, kup chleba, masła, mleka, czego tylko zechcą biedne dzieci. Mój Boże! jak ja mogłem dopuścić do tego, aby dzieci Emilci były głodne! śpiesz, mój Eliaszu i wracaj prędko z jedzeniem.

Eliasz powrócił wkrótce, niosąc świeże bułeczki i masło; mleka nie mógł dostać, więc kupił parę butelek piwa, sądził zapewne, że napój ten będzie posilniejszy i z korzyścią mleko zastąpi.

— Chodź, Janku, usiądź tu przy mnie — rzekłam i położyłam płaszczyk mój podróznym na zwoju lin, aby malcowi wygodniej było siedzieć. Potem rozłożyłam chusteczkę do nosa na kolanach, w miejscu serwety, Eliasz podał mi duży swój



nóż składany i trzymał przedemną bułeczki i masło.

— A co, jak mu się oczki rozpogodziły — mówił pocziwiec, uśmiechając się do dziecka — tak zupełnie, jak i na dworze, chmury się rozsunęły słoneczko wyrzało. Smaczna bułeczka, nie-

— Ależ ten papier się powala, panie Eliaszu — rzekłam — może to co potrzebnego.

— Nie, nie, to niepotrzebne, ja to na pamięć umiem i drugi raz sobie napiszę; to tylko moje wiersze.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem. W gło-



Biedne chłopię str. 661).

prawdą? a kto to lubi skóreczkę rumianą? zaraz, zaraz, trzeba wprzód maselko rozpakować. Niechno panienka poczeka, bo się chusteczka zatłuści— wyjął z kieszeni parę ćwiartek zapisanego papieru i ułożywszy na nich paczkę z masłem, zaczął ją rozwijać.

wie mi się nie mogło pomieścić, ażeby Eliasze mógł pisać wiersze. On zarumienił się, jak dziecko schwyte na uczynku, a ja nie śmiałam już o nic pytać. Wuj także posłyszał słowa, które się Eliaszowi wymknęły mimowoli i rzekł, pokręcając głową:

— Czy to nie szkoda czasu na takie głupstwa? Myślałem, żeś się już z tego uleczył, Eliaszu.

— To tylko w wolnych chwilach, proszę pana, nie to nikomu nie szkodzi — mówił Eliasz z dobroduszym uśmiechem. — Ale niechno panienska sama je — dodał, zwracając się do mnie — ten mały jegomość teraz już sobie da rady, ma sporą kromeczkę nasmarowaną. Pzoseę pozwolić, ja ukroję i nasmaruję, czyste mam ręce.

Nie pamiętam, aby mi kiedy w życiu najwytworniejsze potrawy tak smakowały, jak ten skromny posiłek, przy tak niewyszukanéj zastawie stołu. Zdaje mi się, że widzę cały ten obraz: Janek chciwie zajada swoją bułeczkę, on, co zwykle grymasił przy każdém jedzeniu i rzadko kiedy miewał dobry apetyt; Eliasz, przykucnąwszy na pokładzie przy nas, smaruje ostrożnie i uważnie kromkę bułki dla mnie, a wuj Ruben z fajką w zębach siedzi naprzeciwko na zwoju lin i z zadowoleniem patrzy na nas, nie, myślę się, na Janka tylko. Statek tymczasem wypływa z przystani, para syczy i świszczy, koła podwodne obracają się z hałasem i wkrótce domy miejskie i maszty okrętów oddalają się z wolna, wreszcie znikają zupełnie z przed oczu naszych, a niezmierzone fale wodne otaczają nas dokoła.

Gdyśmy się już posilili, zaczęliśmy z Jankiem rozglądać się na wszystkie strony i teraz dopiero, gdyśmy wypłynęli na pełne morze, spostrzegliśmy, jak dziwnie i zabawnie nasz statek wyglądał. Zupełnie, jakby jakiś ogromny latawiec z długim ogonem z powiązanych kawałków papieru, latawiec, który spadł w sadzawkę i płynie po wodzie. Parowiec nasz ciągnął za sobą ośm dużych łodzi próżnych, wszystkie były powiązane jedna do drugiej, jak ogniwa łańcucha i zupełnie naksztalt długiego ogona wlokły się za nami.

Janek był teraz w wybornym humorze, siedział spokojnie przy mnie, owinięty w szal mój ciepły i rozmawiał z ożywieniem. Widok ten bardzo go zajął i zaczął mię rozpytywać, co to takiego. Chciałam się udać o objaśnienie do wuja, ale zajęty był przeglądaniem jakichś rachunków, nie chciałam mu przeszkadzać, Eliasz był niedaleko, zwróciłam się więc do niego, pytając, co znaczą te próżne łodzie.

— Te łodzie, panienko, były naładowane gliną; odstawiliśmy ją do Southamptonu, a teraz z próżnemi łodziami wracamy do domu. Ponieważ pan Morton obok nas mieszka, więc zabraliśmy i państwa z sobą. Dziedzic chciał mu oszczędzić kłopotu i kosztu.

— A kto to jest ten dziedzic? — zapytałam — pewnie pan jakiś bogaty.

— O tak, bardzo bogaty. Dziedzic prowadzi

handel gliną, oho! to bogacz całą gębą, ale też dobry jest przytém i zacny, jak rzadko. Ja jestem rachmistrzem w jego biurze handlowém.

— Bogacz! i gliną handluje! — rzekłam ze zdziwieniem — czyż to podobna, aby bogatemu panu chciało się sprzedawać glinę?

Mówiąc to, miałam na myśli nędzne wózki, widywane na targu w Londynie, i stojące przy nich ubogie wiejskie kobiety, które ochryplym głosem wołają: „Glinę sprzedaję, glinę“!

— Panienko — mówił Eliasz uroczyście — takie mniemanie jest wielkim błędem, popełniają go zwykle ludzie, co się na tém nie znają. Weźmy naprzykład grudkę ziemi. Nam się zdaje, że ona nie ma najmniejszój wartości, a jednak na takiej saméj ziemi wyrasta zboże, zakładają na niéj owocowe ogrody i winnice. Otóż czasem pośród tych grudek zwyczajnéj ziemi znajdzie się pokład gliny. Panienska, patrząc na nią, powiedziałyby, że to nic nie jest, wielu innych ludzi powiedziałyby toż samo; ale niechże przyjdzie taki człowiek, jak nasz dziedzic, lnb jego ojciec przed nim, lub dziad, a ten odrazu pozna w téj glinie skarb nieoszacowany. On ją wykopie, urządzi umiejętnie, a ta glina, którą człowiek nieświadomy ominie z pogardą, przechodząc z rąk do rąk, przemieni się nakoniec... czy panienska widziała kiedy chińską porcelanę?

— O, widziałam nieraz.

— A czy słyszała panienska o tych fabrykach angielskich, gdzie wyrabiają piękne serwisy stołowe i herbaciane z fajansu, owe sławne wedźwudy, rozwożone po całej Europie i całym świecie cywilizowanym? Otóż te wszystkie piękne naczynia, nie z prawdziwéj porcelany, ale z fajansu, robią się po większój części z gliny, wykopanéj w majątnościach naszego dziedzica.

— Czy słyszysz, Janeczku? — rzekłam, gdyż pomimo zajęcia, z jakim słuchałam słów Eliasza, spostrzegłam, że twarzyczka mego małego bratka znowu zaczynała się do płaczu wykrzywiać.

(D. c. n.).

## KAMIEŃ WĘDRUJĄCE.

POGADANKA NAUKOWA.

Znajomi nasi, Leonek i Antosia, wybrali się z ojcem na dłuższą przechadzkę, korzystając z ostatnich dni jesiennéj pogody. Zaszli aż na sam koniec Marszałkowskiej ulicy, gdzie właśnie bruk układano.

— Ach, jakie kupy kamyków! — mówiła Antosia. — Zkąd oni ich tyle nabrali? ojcuzku, czy to są jakie kopalnie takich drobnych kamyków?

— Co pleciesz — odezwał się Leonek — czy nigdy nie byłaś na wsi, nie widziałaś, jakie to mnóstwo kamyków wala się wszędzie po polach? Nieraz, gdy rolnik orze, wydobywają się nawet z głębi ziemi. To się nazywają kamienie polne.

— Aha, rozumiem, więc to po polach je zbierają i przywożą do miasta na bruki. A jakie one zabawne, patrz no, Leonku, wyglądzone, zaokrąglone, jakby oszlifowane. Dziwna rzecz, z kąd one się biorą na polu, czy wyrastają w ziemi, czy co?

— Jak też możesz tak nierozsądne rzeczy mówić, córeczko — rzekł ojciec — czyż kamień, martwa bryłka, może wyrastać, jak grzyb?

— Ojczulku, ja tak tylko żartowałam; wiem ja, że kamyki nie rosną, czytałam kiedyś o tém, jak to ogromne skały rozmaitemi sposobami potworzyły się na ziemi, dobrze już tego nie pamiętam, trzeba, żeby ojczulek kiedyś o tém porozmawiał z nami. Otóż teraz zastanowiłam się i zdaje mi się, że drobne kamyki muszą chyba pochodzić z dużych skał; pewno te skały się rozkruszyły, a odłamki rozsypały się po ziemi.

— Taka prosta rzecz, warto sobie było nad tém głowę łamać — mruknął Leonek półgłosem.

— Nie tak prosta, jak ci się zdaje — rzekł ojciec z uśmiechem — weź ten kamyczek do ręki i przypatrz mu się uważnie. Wszak uczysz się już mineralogii, powinienbyś wiedzieć, jak się taki rodzaj kamienia nazywa.

— Pokażno, pokaż, Leonku — wołała Antosia ze zwykłą swoją żywością — ależ to najprostszy w świecie kamyczek, czerwonawy, a taki chropowaty w miejscach świeżo nadłamanych, jakby był z jakichś ziarenek rozmaitych zlepiony.

— Od tego ziarnistego pozoru pochodzi właśnie nazwa tego kamienia i po polsku nazywają go niekiedy ziarnowcem, ale pospolitsza jest nazwa cudzoziemska...

— Granit! — zawołał śpiesznie Leonek, obawiając się, aby siostrzyczka nie pomyślała, że on się nie poznał na tym kamyczku — granit, od *granum*, po łacinie ziarno.

— A, granit — powtórzyła Antosia — znam doskonale tę nazwę, ale co prawda nie wiedziałam, że te pospolite kamyczki są granitowe. Ale cóż ojczulek widzi w tém niezwykłego, że to jest granit?

— Trzeba wam wiedzieć, że w naszym kraju nigdzie niema większych skał granitowych, za to drobnych kamyków mnóstwo się wszędzie wala po polach, słusznie nazwałaś je najpospolitszemi w świecie. Bardzo trafnie także zauważyłaś, że drobne kamyki nie mogą być czém inném, tylko odławkami skał większych. A teraz zachodzi pytanie, z kąd się wzięły te wszystkie odłamki

w takiej okolicy, gdzie większych skał téj saméj natury niema nigdzie ani śladu?

— A co, a co! — wołała Antosia z tryumfującą miną — żartowałaś ze mnie, Leonku, mówiłaś, że to taka prosta rzecz, wytłómaczże teraz, co to znaczy.

— Otóż wytłómaczę — rzekł braciszek podniesionym głosem — tobie się zdaje, że ja już nic nie wiem, nic nie rozumiem. Te kamienie nazywają się polne, albo naniesione, uważasz, *naniesione*, wiesz przecież, co to znaczy.

— No, wiem, ale co je naniosło i z kąd?

— Woda... czy nie, lód podobno, już dobrze nie pamiętam; woda i lód, to przecież wszystko jedno. A z kąd, to także łatwo odgadnąć, zapewne z takich okolic, gdzie są granitowe skały.

— Ojczulku, czy to tak naprawdę? — pytała Antosia, niezupełnie dowierzająca naukowym wiadomościom brata.

— Muszę przyznać zupełną słuszność Leonkowi — odrzekł ojciec — te bryłki granitowe nie mogły u nas tu wyrósć jak grzyby, a więc przywędrowały niezawodnie ze stron dalekich, bo skał granitowych nie ma nigdzie bliżej, jak w górach skandynawskich, lub w Karpatach południowych. Ze składu tych kamyków, które tu pod Warszawą w tak ogromnej ilości się znajdują, poznać łatwo, że pochodzą z granitów północnych, skandynawskich. Nietylko w naszym kraju, ale w wielu innych okolicach Europy i Ameryki rozsypane są kamyki podobne, czy to granitowe, czy inne, bywają niekiedy pomiędzy niemi ogromne, potężne głazy; nazywają je, jak to Leonek powiedział, *naniesionemi*, a także *eratycznymi*, to jest błędniemi, wędrującemi.

— A to ciekawa rzecz, naprawdę, jakim sposobem te kamienie wędrują; opowiadał nam ojczulek o burzach wędrujących, było też kiedyś w „Wieczorach“ o wędrownkach kropelki wody, o wędrownkach węgla, ale żeby kamienie miały wędrować ze Szwecyi aż do Warszawy, o tém doprawdy nigdy jeszcze nie słyszałam.

— A więc posłuchaj — mówił ojciec z uśmiechem. — Wszak słyszałaś zapewne o lodnikach szwajcarskich. Są to olbrzymie bryły lodu, prawdziwe góry lodowe, które nigdy nie topnieją zupełnie, ale przez długie lata, a nawet i wieki całe utrzymują się w stanie prawie jednostajnym. Niezbyt dawno spostrzegli jednak ludzie uczeni, że lodniki nie są wcale nieruchomemi, lecz niezmiernie powoli przesuują się po stokach gór, spuszczać się ku dolinom. Często bardzo, gdy taki ciężki lodnik przeciska się pomiędzy skałami, większe i mniejsze odłamki tych skał, bryły ziemi, piasku, odrywają się i spadają na powierzchnię

masy lodowej, a ta, posuwając się dalej, nosi to wszystko z sobą. Lodnik zawsze topnieje po troszę, co go jednak nie zmniejsza, bo za to zastyga na nim ciągle nowa ilość wody, spływająca ze strumieni lub deszczów. Otóż w miejscu, gdzie lód taje, opadają wraz z wodą owe niesione na jego grzbiecie, prawdziwie wędrujące kamienie. Takie nagromadzenia kamieni lodnikowych nazywają morenami. W dolinach szwajcarskich owe moreny tworzą czasem duże wały, nasypy, a takich polnych kamyków, jak u nas, wszędzie tam pełno.

— Nic nie wiem, co to z tego będzie — odezwała się Antosia, korzystając z chwilowego milczenia ojca. — U nas przecież lodników niema, kraj nasz nie jest górzysty, woda wprawdzie zamarza zimą na Wiśle, ale kry tylko czasem wędrują sobie troszeczkę po wodzie, nie słyszałam, ażeby prznosiły kamienie, piasek lub ziemię. Coś to musi być innego.

— Ba! wiem przecież i ja o tém bardzo dobrze, że lodników u nas nigdzie niema, nawet i w Tatrach. A jednak pomiędzy szwajcarskimi morenami i naszymi polnymi kamykami jest podobieństwo nadto uderzające, aby mogło być przypadkowe. I te, i tamte, są ogładzone, jakby oszlifowane, jedne i drugie musiały być oderwane od skał oddalonych i przeniesione jakimś mechanicznym sposobem, bo same wędrować nie mogą. Aby to wytłómaczyć, uczeni przypuszczają, iż kiedyś, bardzo dawno, w jakiejś zamierzchłej starożytności, może przed istnieniem ludzi w Europie, lądy i morza tej części świata zupełnie odmienne miały kształty. Ziemi było mniej, a wody daleko więcej. Przypuszczają także, iż w tych dawnych czasach klimat na całej północnej półkuli był o wiele zimniejszy, aniżeli dzisiaj. Na większych wyniosłościach zastygały lodniki tak ogromne, o jakich my dziś nawet wyobrażenia mieć nie możemy. Te straszliwe góry lodowe, tak samo, jak i dzisiejsze, przesuwały się pomaleńku, wędrowały po spadziściach, a gdy dotarły aż do brzegów morskich, staczały się w wodę i płynęły dalej. Wkońcu, czy to woda opadała, czy ląd się podnosił, dość, że lodniki osadzały się na suchym gruncie, topniały, a niezmierna ilość unoszonych przez nie kamieni, ziemi, piasku, rozsypywała się wówczas na wszystkie strony. Może być także, iż lodniki stopniały w morzu, osadzając te wszystkie minerały na dnie morskiem, które się później wynurzało, tworząc nowe lądy.

— Dziwni są doprawdy ci panowie uczeni — mówiła Antosia — chcą koniecznie odgadnąć, co było niezmiernie dawno, w czasach, gdy jeszcze ludzie nie mieszkali w Europie. Jakże to można

wiedzieć takie rzeczy, kiedy nikt tego na swoje oczy nie widział?

— Zabawna jesteś, córeczko. Cóżbyś powiedziała na przykład, gdybyś zobaczyła drzewo zwęglone i popiół na polu, lub w lesie, gdzie przecież zwykle nic się nie pali. Nie wątpiłabyś zapewne, że w tém miejscu musiał być jednak ogień, skoro ślady po sobie zostawił, chociaż ty go na własne oczy nie widziałas. Przypuszczałabyś więc, że to jakiś pastuszek rozpałił sobie ognisko z gałązek i piekł w popiele kartofle. Za pomocą takiego rozumowania, porównywania, co nazywamy kojarzeniem pojęć, można się domyślać dużo rzeczy, których się nie widziało.

— Ba! to co innego, ojcuzku...

— Wcale nie. Owe kamienie naniesione są to tak wyraźne ślady lodników, jak drzewo zwęglone i popiół śladami są ognia. Trudno zapewne obliczyć, ile lat upłynęło od tych dawnych czasów, gdy olbrzymie lodniki wędrowały po Europie, rozsypując kamienie po drodze, osadzając muł i piasek, ale zaręczyć można, że one istniały. Można nawet oznaczyć prawdopodobną ich drogę i kierunek. W wielu okolicach, oprócz kamieni naniesionych, pozostały inne ślady ich przejścia, mianowicie bruzdy i rysy, które te potężne masy lodowe żłobiły na skałach, gdy się po nich przesuwały. Wyglądzenie kamieni polnych jest także jednym dowodem więcej, tylko działanie połączone lodu i wody mogło je tak oszlifować.

— I pomyśleć, że te kamyki, te proste, pospolite kamyki, to taka rzecz dziwna i ciekawa! Mnieby nigdy na myśl nie przyszło, że w nich jest coś nadzwyczajnego.

— Tak to zwykle bywa, moje dzieci. Człowiek nieświadomy wymija obojętnie różne przedmioty, które wcale uwagi jego nie zwracają. Lecz nadchodzi uczone, ten innem okiem spogląda na nie i często spostrzega w nich szczegóły zadziwiające, a snując wnioski, rozumując, dochodzi do ważnych niezmiernie odkryć.

— A przecież o mnie ojcuzek powiedzieć tego nie może, żebym obojętnie przeszła obok tych kamieni; przeciwnie, zaraz mię to zastanowiło, zkąd ich się taka kupa tu wzięła. To Leonek śmiał się ze mnie i mówił..

— Bo ja wiedziałem, że to są kamienie naniesione — przerwał Leonek obrażony — wszak zaraz ci to powiedziałem.

— Tak, zapewne, ale nie umiałeś wytłómaczyć.

— Nie sprzeczcąjcie się, dzieci — rzekł ojciec — Niema znów czém się tak przechwalać, że umiecie się zastanawiać; a toż byłby już wstyd prawdziwy w waszym wieku, gdybyście obojętnie patrzali na świat Boży, wy, coście od dzieciństwa byli do tego

przyzwyczajani przez rodziców i nauczycieli, wy, którzy macie tyle pięknych książek, rycin, umyślnie na to przeznaczonych, aby w was budzić tę chwalebłą ciekawość i zastanowienie.

M. J. Z.

## POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

(Dalszy ciąg).

Henryk pomyślał, że najroztropniejszy człowiek staje się nierozsądnym, gdy go dotknie tak ciężkie nieszczęście. A potem zaczął przedstawiać Williamowi, że celem ich tymczasowym było znalezienie tropu, nie zaś śledzenie go, że do tego potrzebny jest Kongo i Szukaj, i że w każdym razie, idąc za tropem, należałoby się zaopatrzyć w żywność na dni kilka przynajmniej.

Ale po to wszystko trzeba by się wrócić do osady boera, a przez ten czas girafy ubiedz mogły znowu jakie mil piętnaście. A więc William uznał, że wracać byłoby szaleństwem i nie słuchając uwag towarzysza, szedł dalej za znalezionym śladem.

Henryk i Arend jechali więc za nim, gdyż nie pozostawało im nic innego do czynienia. Po jakimś czasie Arend zauważył, że ślady były za duże na młodą girafę.

— Szaleństwo! — mruknął William zapalczywie, śledząc dalej.

— Ależ to są ślady jednej tylko girafy — rzekł Henryk. — Jedna tylko przeszła tędy.

— Mniejsza o to — powiedział William — poszukamy i drugiej; nie mogła ona oddalić się bardzo od tamtej, a prawdopodobnie znajdziemy je razem obydwie.

O milę dalej, wysoka postać girafy zarysowała się w głębi równiny. Spostrzegłszy ją, młodzi ludzie spięli konie ostrogami i jak wiatr popędzili ku niej. Przez pierwsze dziesięć minut odległość pomiędzy nią i nimi pozostawała jednakowa. Jednak nadbiegłszy na grunt błotnisty, girafa zaczęła okazywać wyczerpanie sił. Nogi jej ugrzęzły, zaczęła się szarpać i padła na bok. Dobiegłszy do niej, myśliwi od razu zrozumieli, dla czego dosięgli jej tak łatwo. Była to girafa stara i cała pokryta naroślami wielkości orzecha, zdradzającymi dawne, zagojone ślady pocisków. Z boku zwierzęcia wyglądał nawet zerdzewiały kawałek strzały. Zwierzę musiało przynajmniej od lat dwudziestu być narażone ze sto razy na śmierć od wystrzału. Dziwnym było, że mogło jeszcze dotąd żyć i uciekać. Teraz dogorywało u stóp myśliwców,

smutnie zawiedzionych takim wcale nie chlubnym zwycięstwem.

William dał się unieść na chwilę nadziei, że odzyskuje swoją girafę, a teraz popadł w głębszą jeszcze rozpacz. Czy to przez zemstę, czy z litości, wpakował kulę w głowę konającego zwierzęcia; skoczył na koń i zawrócił ku osadzie boera, oświadczając na koniec stanowczo swym towarzyszom, że gotów jest wracać prosto do Graaf-Reinet, ponieważ stracił nadzieję.

Pomimo rzeczywistego współczucia, Henryk i Arend zamienili radosne spojrzenie.

Ich wyprawa miała być nareszcie skończoną.

## LXVI.

P o s z l a k i.

Cały dzień był pochmurny. Natychmiast po zachodzie słońca ściemniło się tak, że młodzi myśliwi nie byli w możności dostać się na noc do mieszkania boera, odległego o mil mniej więcej piętnaście. Zsiedli z koni, spętali je, i postanowili przeczekać noc przy ognisku. Nie ujrzeli w nocy żadnych zwierząt, oprócz hyen, chichoczących po swojemu w pewnej odległości od ognia. Zdawało się, jakby z nich szydziły. O świcie dosiedli koni i skierowali się ku osadzie boera. Byli już od niej o mil pięć tylko, gdy spotkali dwóch nieznaną jeźdźców.

— Dzień dobry, panowie — rzekł jeden z nich. — Dobrze, że was spotykamy. Czy widzieliście nasze konie?

— Czy pytacie o te, na których jedziecie? — rzecze Henryk.

— Nie, mówimy o innych pięciu, bez siodeł i trzgli; jeden koń gniady, ślepy na jedno oko, z białą łatą na tylną nodze, jedna klacz z gwiazdką na czole, i...

— Nie — odpowie Henryk — jesteśmy w podróży od wczoraj rana, ale nie spotkaliśmy żadnego zbłąkanego konia.

— W takim razie nie mamy co szukać w tym kierunku — rzekł drugi jeździec. — Czy nie chcielibyście panowie powiedzieć nam, z której strony przybywacie?

Henryk w krótkich wyrazach opowiedział, co zaszło od dwudziestu czterech godzin.

— A więc panowie giraf owych szukacie? — rzekł wtedy jeden z obcych — w takim razie możemy mogli dać wam jakie poszlaki. Z waszych słów widzę, że musieliście się zatrzymać w mieszkaniu osadnika Ormona. Wczoraj rano, gdyśmy szukali naszych koni, o dziesięć mil na południe od tej osady, ujrzeliśmy dwie girafy, pierwsze, jakie w życiu widziałem, mieliśmy nędzne

wierzchowce i troszczyliśmy się o nasze zbłąkane konie, gdyby nie to, bylibyśmy pogonili za girafami, aby je upolować.

— Dziesięć mil na południe od osady?—wykrzyknął William. — A my śledzimy je o dwadzieścia mil na północ! Jakież szaleństwo popełniamy! I cóż robiły girafy? Biegły? czy szły? — pytał dalej William z największą uporczywością, przyglądając się temu, kto tak niespodzianie odzywał jego zamarłe nadzieje.

— Szły małym truchtem ku południowi, ale ujrawszy nas przyspieszyły kroku. Były najwięcej o ćwierć mili od nas.

Niecierpliwi młodzieńcy nie słuchali więcej, spięli rumaki ostrogami i odjechali pędem.

Osadnik Ormon przyjął ich osobiście u wrót swojej siedziby.

— Widzę to i czytam z wyrazu waszych twarzy, żeście nic nie znaleźli, moi kochani chłopcy—rzekł Holender. — Pewny tego byłem. Girafy nie traciły czasu. Ubiegły już daleko.

— Tak, na południe — odpowiedział William — słyszeliśmy o nich. Jedziemy natychmiast. Gdzie są nasi towarzysze?

— Pojechali wczoraj rano ku południowi. Czekają was na pierwszym pastwisku.

— Dobrze — rzecze Henryk — dogonimy ich wkrótce. A teraz umieramy z głodu, panie Ormonie i musimy odwołać się do twojej miłej gościnności.

— Nie zawiedziecie się na mnie, moi chłopcy. Ale któż wam powiedział moje nazwisko?

— Jacyś ludzie, ciż sami, którzy nam o girafach mówili. Szukali koni zbłąkanych.

— Niewątpliwie mój sąsiad Cloets, zamieszkujący ztąd o mil piętnaście. Powiedział, że widział girafy? Gdzie i kiedy?

— Wczoraj rano, niezbyt daleko od pańskiego mieszkania.

— Ha, może poszły do Graaf-Reinet obwieścić wasze przybycie! Ha ha ha! to byłoby paradne! prawda?

Ten żart, mocno niewłaściwy w obecnych okolicznościach, zakończył rozmowę. Boer udał się do swego domu. Przechodząc obok jednej z chat, młodzi myśliwi zdumieni się dostrzegłszy, że Kongo skrył się za węglem. Widocznie chciał uniknąć spotkania z nimi. Była to nowa tajemnica.

— Héj, Kongo, pójdźno! — zawołał William. — Co tam robisz? Dla czego nie pojechałeś za Hansem?

Nie mówiąc ani słowa, Kafr okrążył węgiel i wszedł do chaty. Boer zawiadomił zdumionych myśliwych, że Kongo oświadczył chęć przyjęcia

służby u niego, ponieważ dawni panowie obeszlą się z nim nazbyt okrutnie z powodu zaginionych giraf. Holender usprawiedliwił się i zaręczał, że nie wpłynął wcale na to dziwne postanowienie Kafra.

— To niepodobna! — zawołał William — musi być w tym jakieś nieporozumienie! Kłamie, jeśli mówi, żeśmy go obili. Może przemówił do niego za surowo, ale nie sądziłem, aby był tak tkliwy. Przykro mi, że go obraziłem i powiem mu to.

Pan Ormon poszedł do drzwi chaty i rozkazał Kafrowi wyjść. Gdy ten wyszedł, William przemówił do niego po przyjacielsku, prosząc, aby puścił w niepamięć zbyt surowe słowa i aby powracał do Graaf-Reinet ze wszystkimi.

Podczas tego przemówienia, bystre oczy Holendra biegały od pana do sługi nieustannie, jakby niecierpliwie czekając odpowiedzi. Zadowolenie błysnęło w tych oczach, gdy Kafr mruklawie a stanowczo oświadczył, że woli pozostać na usługach nowego pana, i prosił tylko Williama o obrachowanie należnych mu za dawne zasługi pieniędzy.

Gdyby Kongo należał do jego rodziny, William nie mógłby być bardziej uprzejmy dla niego. Niepojęte postępowanie dawnego sługi było zanadto oburzającym, aby zasługiwało na gniew jego. Z pełnym wzgardy uśmiechem odwrócił się, i wszedł do mieszkania wraz z Henrykiem i Arendem.

Posadziwszy swych gości przed stolikiem, zastawionym zimnym mięsiwem, dużym bochenkiem chleba, i butelką wina z Przyładka, gospodarz odszedł od nich i szybko skierował się ku jednej szopie. Zastał tam Hotentota, siodłającego konia z pośpiechem.

— Piotru! — rzekł żywo — śpiesz się, chłopcze! skocz na konia i pędź ku północy, dopóki nie spotkasz mego brata i szwagra. Powiedz im, żeby się zatrzymali o milę ztąd i żeby nie ruszyli z miejsca przed upływem godziny! Prędko jedź!

W dwie minuty później Hotentot, spinając konia, pędził wedle rozkazu.

Młodzi myśliwi, podjadłszy do syta, podziękowali boerowi i jego małżonce, a skoczywszy na konie, ruszyli za Hansem i girafami.

## LXVII

Czyliż Kongo jest zdrajcą?

Nie chcąc nadużywać gościnności osadnika, Hans postanowił opuścić dom jego i obozując w pobliżu, czekać na powrót towarzyszy. Boer niezbyt go zatrzymywał. Hans zajął się więc zwołaniem służby i przygotowaniami do drogi. Makalolosy doznawali jeszcze nieznośnych skutków

upojenia. Wszedłszy do wyznaczonéj im chaty, Hans zastał ich w usposobieniu bardzo smutném, które łączyło w sobie żal i skrucę z cierpieniami fizycznymi. Usłyszawszy o stracie giraf, wpadli w rozpacz gwałtowną. Rwąc garściami z głowy wełnistą czuprynę, zaczęli wrzeszczeć: *kombi! kombi! kombi!* Hans wiedział, że tak zwała się straszliwa trucizna, w wielkiém będąca u Makalolosów użyciu. Czterej murzyny w rozpacz, przypisując sobie samym nieszczęście wynikłe z ogólnego niedbalstwa, gotowi byli ukarać się za nie samobójstwem. Przebaczenie Hansa i darowanie im życia przyjęli z głęboką wdzięcznością.

Gdy już objuczono konie i woły i zabierano się ruszać w drogę, Kongo oświadczył nagle zamiar opuszczenia karawany.

— Cóż to ma znaczyć, Kongo? — spytał Hans. — Czyliż masz żal o to, co ci pan twój w chwili sprawiedliwego gniewu powiedział? Cóż zamýślasz czynić?

— Nie wiem, panie Hansie — mruknął Kongo.

Sądząc, że dziwactwo jego przejdzie wraz z ostatnimi wzywami upojenia, i że Kongo na zajutrz pożałuje swego postępku, Hans pozostawił go w spokoju dla namysłu. Przy pomocy Facetana i Makalolosów karawana wyruszyła w drogę. O trzy mile z tamąd, napotkawszy lasek i strumyk, zatrzymano się i rozłożono obóz.

Hans rozstał się z boerem jakoś dziwnie, i trochę gwałtownie, jakkolwiek przyczyny tego sam dobrze nie rozumiał. Głównym powodem pośpiechu Hansa, odpowiedzialnego teraz za całość karawany, była obawa, aby Makalolosów nie spojono po raz drugi. Świeże wspomnienia okropnych skutków nadużycia i szczerzy żal za przeszłość zabezpieczały ich chwilowo przynajmniej od nowéj pokusy.

Hans był rzeczywiście rozumnym, myślącym młodzieńcem i posiadał w wysokim stopniu cnotę cierpliwości. Facetan i Makalolosy potrzebowali spoczynku, a zwierzętom doskonale było w owym lasku, gdzie miały wyborną paszę i przy strumyku. Należało więc zatrzymać się i czekać na towarzyszy.

Na noc spętano zwierzęta i spędzono je do gromady. Ludzie umieścili się, jak kto mógł najwygodniej, przy dużém ognisku. O świcie zbudziło ich szczekanie psa i głos znajomy. Był to głos Konga.

— Pewny byłem, że przyjdiesz do nas — rzekł Hans, bardzo zadowolony widokiem wiernego Kafra.

— Tak, przychodzę, ale nie zostanę — odpowiedział Kongo.

— A więc po cóż przychodzisz?

— Aby się zobaczyć z panem Williamem. Ale

jego tu niema. Gdy go zobaczycie, powiedzcie mu, aby czekał dwa dni, cztery dni, aż Kongo przyjdzie.

— Ale William wróci najprzód do osady boera Ormona, więc się sam z twoim panem porozumiesz.

— Nie, bo może właśnie odejdę wtedy z wołami boera. Dla niego teraz przecież pracuję. Powiedzcie panu Williamowi, żeby czekał na Konga.

— I owszem, powiem mu to — rzecze Hans. — Ale ty coś przed nami ukrywasz. Po cóż masz widzieć się z twym panem, kiedy masz taki żal do niego, że go aż opuszczasz? Dla czego przyjąłeś służbę u tego Holendra.

— Nie wiem — mruknął ponuro Kongo — głupi Kongo nie wie nic!

— Muszę też słówko powiedzieć na obronę Konga — rzekł Facetan — Kongo nigdy nie kłamie! a teraz szczególnież prawdę powiedział!

Kafr uśmiechnął się na ten dowcip złośliwego Facetana. Poprosiwszy raz jeszcze, aby William czekał na niego koniecznie, oddalił się szybko wraz z Szukajem.

Było w jego postępowaniu coś, czego Hans nie mógł sobie wytłómaczyć inaczej, chyba przypuściwszy tak, jak on sam to powiedział, że był głupim szaleńcem i odpowiednio działał.

Słońce podnosiło się, Hans zaczynał już sądzić, że poszukiwacze giraf znaleźli trop prawdziwy. Hans znał Williama; wiedział, że nie porzuci on tropu, póki sam z sił nie opadnie. Zwierzęta oswojone powinny być dać się ująć z łatwością.

Nadzieje te spełzyły na niczém o południu, gdy William i jego towarzysze ukazali się z próżnemi rękami.

— Wszystko zatém napróżno! — rzekł Hans. — A więc pozostaje nam tylko wrócić cało i zdrowo do Graaf-Reinet.

— Owszem — rzekł William — pozostaje nam jeszcze nadzieja. Słyszeliśmy o girafach. Wczoraj rano widziano je o kilka mil z tąd. Znajdują się pomiędzy Graaf Reinet i nami. Jeśli ich nie schwytamy, będziemy niegodni imienia myśliwych. Trzeba gonić natychmiast.

Facetan i Makalolosy otrzymali rozkaz przygotowania wszystkiego do drogi.

— Brak nam Konga i Szukaja, przydaliby się teraz — rzekł William, gdy już wszystko było gotowe.

— Ach — zawołał Hans — zapomniałem ci powiedzieć, abyś koniecznie czekał na niego. Pragnął bardzo widzieć cię, i prosi, abyś był cierpliwym cztery dni i więcej nawet, gdybyś go w tym przeciągu czasu nie ujrzał.

— Szczęściem nie potrzebuję tracić czasu na czekanie — odpowiedział William — widziałem

się i rozmawiałem z tym łotrem niewdzięcznym przed półgodziną.

— Doprawdy! I cóż on miał tak ważnego do powiedzenia?

— Poprostu żądał, abym mu wypłacił roczne za-  
sługi. Przykry to zawód. Nigdybym nie sądził,  
żeby Kongo miał nas zdradzić.

Na tém skończyła się rozmowa, gdyż wszystko  
gotowe już było do drogi.

(D. c. n.).

### LEGENDA.

(do rozwiązania).

Co to za ptaszek i jak się on zowie,  
Znany powszechnie w całej Europie,  
W białej spodniczce, w brunatnej salopie,  
O żółtych skrzydłach, i czerwonej głowie,  
Z krwawą kropelką na szyjki połowie —  
A każda lotka, sterówki toż samo,  
Białą trójkątną zakończoną płamą —  
Mieszka w ogrodach, i na wsi, i w mieście,  
Gnieździ się w krzakach, śliwkach i agreście,  
Żywi się ziarnem, siemieniem, sałatą,  
Śpiewa przyjemnie przez wiosnę i lato?

Gdy Chrystus Pan nasz, pod ciężarem krzyża,  
Na Kalwaryą szedł śród grzesznej rzeszy,  
Piękny ten ptaszek w ślad za krzyżem śpieszy,  
I coraz więcej do krzyża się zbliża,

A gdy już wszyscy Pana opuścili,  
On za kruszynkę z wczorajszej wieszczy,  
Ręką Chrystusa rzuconą z talerzy,  
Nieulekniony za Chrystusem bieży,  
I przy Nim wytrwał do ostatniej chwili.

Spojrzał nań Chrystus, na krzyżu męczony,  
I wyrzekł święte błogosławieństw słowo:  
„Ty, coś był przy mnie, bądź błogosławiony!”  
Ptak zatrzepotał, żałość nim owładła,  
Wzniósł się, zawisnął nad Chrystusa głową,  
Dziobkiem oderwał cierń z Jego korony  
A z ciernia kropla krwi na szyjkę padła...

I tak od czasu męki Kalwaryi,  
Ptak ten się rodzi z kroplą krwi na szyi.

Rozalia D.

### Łamigłówka kryształowa (M. E.).

1. Litera.
2. Miasto na Podolu
3. Moneta.
4. Zwierz dziki.
5. . . . .
6. Nazwa potomka.
7. Bóstwo indyjskie.
8. Wykrzyknik.
9. Litera.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą na-  
zwisko znakomitego mówcy.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 40g-o.

#### Szarady:

Ko — cham — cię.

#### Łamigłówki głoskowej:

Szkoda czasu i atlasu.

### Odpowiedzi od Redakcyi

**Władysiovi R. w Troickosawsku.** Tak więc nie obaczmy  
jeszcze kochanego naszego korespondenta w tym roku.  
Przykro nam szczególnie, że częstą opóźnienia wyja-  
zdu jest choroba Ojca i prosimy o częste wiadomości o jego  
zdrowiu. Co się odwlecze, to nie uciecze, zapewne, że dla  
chorego podróz w zimowej porze byłaby niebezpieczną  
i lepiej już wiosny się doczekać; ale da Bóg przemiłą kie-  
dys te smutne, zimowe miesiące, a i zdrowie Ojca się po-  
lepszy tymczasem. Słicznie dziękujemy za łamigłówki,  
wszystkie będą drukowane. Dłuższego liściku oczekujemy.

**Anusi M. w Berdyczowie.** Opis wycieczki niezadługo wy-  
drukujemy, uwzględniając słuszną uwagę Mamy. Uprze-  
dzamy, że mała zmiana w tytule nastąpić musi niezależnie  
od naszej woli. Korespondencye i opisy wycieczek kocha-  
nych naszych czytelników zamieszczamy chętnie w Piśmie  
naszém, jeśli są porządnie napisane i niezbyt długie. Prze-  
ślana próbka zupełnie tym warunkom odpowiada, a i to  
nam wielką sprawiło przyjemność, że jest ofiarowana jed-  
nej z najmilszych naszych korespondentek i współpracow-  
niczek, której przy tej sposobności serdeczne przesyłamy  
pозdrowienie.

**Edwardkowi Gr. w Łosicach.** Prenumeratę otrzymaliśmy  
tylko jednorazowo na kwartał czwarty; czekaliśmy z odpo-  
wiedzią, sądząc, iż zapowiedziana w liście Mamy kwota  
pieniężna później nadejdzie; dotychczas jednak nie otrzy-  
maliśmy jej wcale, musiała więc zajść jakaś pomyłka, o któ-  
ręj wyjaśnienie prosimy.

**Helence B. w Koniuchach.** Żądany Nr. 36 odesłaliśmy  
powtórnie. Zagadka historyczna trafnie jest wprawdzie  
odgadnięta, ale dla otrzymania nagrody potrzeba opisu  
obszeruego i porządnego, ażeby mógł być wydrukowany  
w Piśmie.

**Do wszystkich.** Upraszamy najuprzejmiej osoby, nie na-  
leżące do kółka stałych naszych współpracowników, aby  
bez uprzedniego listownego porozumienia nie nadsyłały  
nam rękopisów, których przechowywanie dużo nam przy-  
czynia kłopotu, i które z łatwością mogą być zatraczone lub  
zamienione. W tym roku mianowicie żądane prace większych  
rozmiarów nie mogą już być przyjęte, gdyż teka nasza jest  
dostatecznie zaopatrzona.



# WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



## ŻÓŁW I MYSZ.

Bajka Ignacego Krasickiego.

Że zamknięty w skorupie niewygodnie siedział,  
Żałowała mysz żółwia; żółw jej odpowiedział:  
Miej ty sobie pałace, ja mój domek ciasny;  
Prawda, nie jest wspianały, szczupły, ale własny,

## PUDEŁKO CUKIERKÓW

KOMEDYJKA W 1 AKCIE.

(Naśladowana).

(Dalszy ciąg).

WŁADZIO.

Ale naturalnie! Bierz, Adelciu, prędkiej!  
A co, dobry? Smakuje ci?

ADELICIA (*bierze jeden cukierek i kosztuje*).

I jak jeszcze! Pięknie to wyrzekać się tak  
doskonałych przysmaków, jak cukierki!.. Wła-  
dziu, co widzę! zabierasz się do drugiego?

WŁADZIO.

Nieinaczéj. Ja bo nie czuję się zdolnym  
do tak wielkich poświęceń! Pyszna to rzecz  
cukierki! Ten zapach, ten zapach! A ten  
smak!..

ADELICIA (*z przestraszeniem*).

Boże mój! pudełko wypróżnia się! a Mama...

WŁADZIO.

Pewnie tylko żartem nie pozwoliła ci za-  
glądać do niego.

ADELICIA.

Czyż podobna!

WŁADZIO

Ręczę, że mama twoja nie spojrzy nawet  
na pudełko i nie będzie wiedziała, czy są  
w niem cukierki, czy niema.

ADELICIA.

Żebym to ja pewną tego była, tak jak ty...

WŁADZIO.

No, Adelciu, bierzże dobry przykład i jedz.

ADELICIA (*bierze kilka cukierków*).

Już za późno żałować! Ale jak ty prędko  
i chciwie zajadasz.

WŁADZIO.

Bo widzisz to moje pierwsze dzisiejsze  
śniadanie, innego jeszcze nie jadłem i bar-  
dzom rad, że od cukrowego zaczynam, bo prze-  
padam za słodyczami!

ADELICIA.

Ach, jakie doskonałe!

WŁADZIO.

I coraz prędkiej znikają, ale ponieważ już  
w pudełku nie wiele, więc kończmy.

ADELICIA.

I owszem.

WŁADZIO.

Już po cukierkach!

ADELICIA.

Wszystkie zjedzone!

WŁADZIO.

A teraz zamykam pudełko i stawiam na  
dawne miejsce. (*Stawia pudełko na biurku*).  
Czy tak dobrze?

ADELICIA.

Dobrze!.. O! Władziu, źleśmy postąpili...

WŁADZIO.

Co? Masz tobie, i wyrzuty sumienia!.. Ale  
zapóźno; trzeba było słuchać sumienia wtedy,  
gdy cukierki były jeszcze w pudełku.

ADELICIA (*z westchnieniem*).

Ach prawda! Twoje słowa, choć przykre, słuszne są, Władziu. To ja winnam wszystkiemu! Ach jakżem nieszczęśliwa! (*placze*).

WŁADZIO.

Nie płacz, Adelciu.

ADELICIA.

Boże mój, Boże! och! och.

SCENA II.

Ciż SAMI, MARYNIA.

MARYNIA.

Co się wam stało?... Czego Adelcia tak płacze?

ADELICIA.

Czy widzisz to pudełko?

MARYNIA.

Widzę... i cóż?

ADELICIA (*placząc ciągle*).

Nie... ma... w niem... już nic!...

MARYNIA.

Jakto nic?... A... Władziu, wstydź się.

WŁADZIO (*do siebie*).

A co, czy nie mówiłem, że ona mnie ciągle łaje.

ADELICIA.

Jam zarówno winna, jak Władzio, a może i więcej nawet, Maryniu. Co mama na to powie! och! och! (*placze*).

MARYNIA.

Ej, nie płacz tak, Adelciu, może się to da jakoś naprawić.

ADELICIA.

Nie, nigdy!

MARYNIA.

Nie martw się, moja droga Adelciu; (*placze także*) to ci może zaszkodzić; idź lepiej z Władziem do ogródka, na świeże powietrze: tam się prędzej uspokoisz. Ja znów muszę odejść na chwilę, bo mnie wołają.

ADELICIA.

Zdaje ci się chyba: ja nic nie słyszałam.

MARYNIA.

Ale ja doskonale. Wkrótce do was powrócę. (*Wybiega*). (*d. c. n.*)

~~~~~  
CZTEROLETνια MARYSIA.

Marysia miała myśl osobliwą,  
Gdy Mama jęj była chora,  
Widzi, że z rady pana doktora,  
Klamki smarują oliwą,  
By cicho się otwierały.

Wtém na folwarku wieczorem

Przy bydle psy zaszczekały

I wyły ogromnym chórem.

Marysia bardzo się trzudi,

Że hałas Mamę obudzi;

Zamiast się próżno frasować,

Zawoła z minką troskliwą:

— Żeby też można oliwą

Pyszczki piesków wysmarować?

*Gabryela Puzynina.*

Czego ptaszkom potrzeba?

Basia i Karolka, wchodząc raz sobie do swego pokoiku, z wielkiem zdziwieniem ujrzały ptaszka wróbelka fruującego po pokoju. Oczywiście wpadł on otwartym lufcikiem i nie mógł trafić do niego napowrót.

Dziewczynki ucieszyły się bardzo z tego gościa i zaczęły naradzać się, jakby go przyjąć najlepiej. Przyniosły mu ziarenek, bułeczki, wody w porcelanowém naczynku z lalczynego gospodarstwa, przyniosły z salonu od Mamy kilka dużych oleandrów i ustawiły tak, żeby ptaszek sądził, że to jest las. Na gałęzce w tym lesie przytwierdziły malutęńki koszyczek, wystawszy go miętko, aby służył wróbelkowi za łóżeczko. Jednym słowem zrobiły co tylko mogły, aby wróbelkowi było dobrze, ale on nie patrzył na te wszystkie dogodności, tylko fruwał zawzięcie, jakby rozum stracił, rozbijając się o ściany i szyby.

— Nie trudno zgadnąć, że niepodoba się wróbelkowi nasze przyjęcie — rzekła Basia z namysłem — ciekawa rzecz, czego też takiemu ptaszkowi jeszcze potrzeba, aby był szczęśliwy?

Karolka namyśliła się także nad tém pytaniem, aż nagle rozśmiała się głośno, mówiąc:

— Jakże my też dziecinne jesteśmy, moja Basiu żeśmy tak długo nad tém myślały! Dopiero teraz przyszło mi na myśl, czego potrzeba jeszcze tój ptaszynie, aby była zadowolona z naszego przyjęcia, i pewna jestem, żeś zgadła!

— No cóż takiego? trzeba zaraz to zrobić! — powiedziała Basia ciekawie.

— A to trzeba wróbelkowi okno tak szeroko otworzyć, aby łatwiej na Boży świat wyleciał! — śmiejąc się rzekła Karolka.

Basia rozśmiała się także, mówiąc:

— Prawda! jakie my też dziecinne, żeśmy

się tego odrazu nie domyśliły, czego wróblowi potrzeba, aby był szczęśliwy.

Zawołano Wincentego służącego, aby duże okno jak szeroko otworzył, co gdy się stało, wróblek zatrzepotał radośnie skrzydełkami na podziękowanie dobrym paniąkom i szczęśliwy wyleciał na świat zielony.

## JÓZIA W KRAINIE LALEK,

wyjątki z listów małej podróżniczki.

(Dalszy ciąg).

Przybliżywszy się przecież ujrzała Józia, że błyszczące owe towary nie były to już cacka, lecz przeróżne tkaniny konopne, lniane, wełniane, a nadewszystko jedwabne na ubranie i wiele innych użytków. Józia, pomimo że jest dosyć rozsądna, jak na małą dziewczynkę, przecież wyraża się, że „temi jedwabiami możnaby ubrać połowę przynajmniej ludzi na świecie, taka tam tego masa“, musiało więc być tam tego dużo w istocie. Mama i pani Poncet zaczęły masę towarów oglądać (Józia niezmiernie często używa w razach masa, z francuzka trochę). Aż teraz panowie i dziewczynki nawet zaczęły skarżyć się na długość tego przeglądu, jak wprzód pani narzekały na zbyt wielkie cackami zajęcie. Tak pisze Józia, a z tego widać, że owe słynne na cały świat materye mniej ją daleko zajmowały od zabawek.

Nareszcie panie wybrały cztery materyały: dwa dla Józii, jeden dla Mamy, jeden dla Ojca. Wszystko to było jedwabne, bo chociaż i tam jedwabne materye droższe są trochę od innych, to przecież są takie mocne, że kupiono je przez oszczędność właśnie, dla Józii zwłaszcza, która, jak sama wyznaje, drze i niszczy suknie bardzo prędko, nie wiadomo nawet jakim sposobem, bo serdecznie stara się je oszczędzać. Jedna z tych dwóch materyi dla Józii była koloru jasno-orzechowego, podobna zresztą zupełnie do bardzo grubego i gęstego płótna, ale miękkiego jak wata, taką samą zupełnie suknią miała na sobie i na codzień nosiła Matylda. Było to takie brzydactwo z nierównych i kosmatych nitek złożone, że Józia w głębi duszy wydziwić się nigdy nie mogła temu, jak Matylda w takiej brzydkiej sukni chodzić może, a ujrawszy, iż dla niej samą także się taka kupuje, aż ręce załamała i krzyknęła ze zmartwienia.

Pytano ją, co ję się stało, i musiała na-

reszcie wyznać, co myśli o sukni Matyldy, czego przez grzeczność nigdy ję nie powiedziała wprzód. Wtedy dopięro dowiedziała się Józia z wielkiem podziwieniem, że ta brzydka suknia jest jedwabna i ulubiona Matyldy, ponieważ jest „nieoceniona“ jak utrzymuje Matylda i ję Mama, a to dla tego, że się zgoła wcale nie plami, gdyż po tych doskonałych jedwabnych skręconych włóknach sływa każdy płyn, choćby kawa ze śmietanką nawet, tak, jak woda po kaczych piórach, nie plamiąc i nie wilgociąc ich. A przytém jest ta materya tak niesłychanie mocna, że tego pojąć trudno. Matylda powiada na przykład, że od kilku lat jak mieszka w Japonii chodzi ciągle w jednej takiej sukni, którą przerabia się tylko z powodu wyrastania Matyldy, ale wcale nie z powodu zniszczenia.

Dowiedziawszy się o tych zaletach materyi, Józia pogodziła się z nią odrazu, podziękowała serdecznie rodzicom, i sama zaniósła ten materyał, rozmawiając z Matyldą o jego wielkiej wartości. I Mama i Józia zgodziły się na jedno, a to, że jeżeli Józia nie podrze owę sukni przez cały rok, to będzie dowód, że materyał jest istotnie „nieoceniony“ Mama mówiąc tak, żartowała trochę, a wszyscy się śmieli. Józii było troszeczkę wstyd, choć śmiała się także, ale cóż na to poradzić, że ona biedaczka ma już takie nieszczęście z tępym niszczeniem sukien... Mama kupiła sobie podobną, tylko tańszą i nie tak mocną, a za to ładniejszą, bo tamta wedle zwierzenia Józii przed ciotką, jest troszeczkę podobną do... ściereczki z grubego płótna.

Potém zakupiono cały stos kapeluszy miejscowego wyrobu dla obu dziewczynek, bo te kapelusze są tanie, lekkie, wygodne, ale prędko się niszczą. Józia miała wielką ochotę i na pantofelki japońskie, i Ojciec obiecał ję kupić ze sto par, ale sama Józia uznała, że nie warto ich kupować w Yeddo i kłopotać się tępą drogą, kiedy i w Yokohamie i wszędzie pełno jest tego towaru i wszędzie go można dostać za bezcen. Pantofelki podobne bardzo są wygodne, ale znów takie łatwe do zdarcia, że muszą być tanie, bo inaczej niktby na nie nie mógł nastarczyć pieniędzy. Te, które grzeczny kupiec i jego żona podarowali Józii, trzymały się niby dobrze przez cały dzień, ale wieczorem powróciwszy do domu, do Yokohamy, przy zdejmowaniu pokazały się dziury na piętach. Matylda Francuzeczka nazwała to zaraz po swojemu, że Józia miała pantofle „wygorsowane (decoltés).

Wracając do domu, Józia nie czuła się wcale zmęczoną, ale położywszy się, usnęła natychmiast snem kamiennym, a nazajutrz tak była z mordowana, jakby po długiej jakiejś podróży, i ból głowy jej mocno dokuczał. Matylda pokiwała głową, dowiedziawszy się o tych dolegliwościach, i zapewniła Józję, że to jest tylko znużenie spowodowane zbyt wielkim wrażeń wczorajszych, a nawet i wytężeniem wzroku na arcydzieła krajiny lalek. Istotnie następnego dnia wyzdrowiała Józia, a Matylda dodała, że z nią zupełnie to samo było w podobnych okolicznościach. Pan Poncet wrócił tego dnia trochę wcześniej ze swego biura i kazał się dziewczynkom zabierać, ponieważ ma im coś ciekawego do pokazania; spytano o pozwolenie Mamy i otrzymawszy je poszli wszystko troje.

Dziewczynki miały nowe japońskie kapelusze i wysokie japońskie pantofelki, jakie tam przystoją paniom wyższego stanu, bo Józia tylko po domu chodzi w słomianych, a wychodząc bierze wysokie trzewiki, przyznaje ona, że to jest niewygodne, ale za to podwyższa panią o całe ćwierć łokcia prawie! więc jakże było nie uprosić Mamy o pozwolenie na takie trzewiki? Prócz tego panią miały parasolki w rękach, bo tam wszyscy je noszą. Szli nie długo, a jak tylko skręcili w jedną ulicę, zaraz Matylda powiedziała, że już wie, gdzie idą. I nie myliła się, bo przecież znała już nieźle miasto i okolice nawet.

Na małym placu stał dom, nie wiele większy od innych, ale trochę odosobniony od ulicznego gwaru i z jedną tylko ścianą otwartą; zbliżywszy się, usłyszano szmer podobny do brzęczenia pszczół... Józia patrzyła z uwagą, ale nie mogła z razu poznać, co by to było, na co patrzyła, bo oto cała podłoga w owym domu była jakby usiana niedużemi stożkami jakimiś, co wyglądało razem, jakby mnóstwo kretowin dość sporych i od tych to kretowin wychodził ów brzęk... Józia tak ciekawie na to patrzyła, zbliżając się i tak widocznie poznać tego nie mogła, że aż jej towarzysze, pan Poncet i Matylda, śmiać się z niej zaczęli.

A tymczasem przystąpiono aż do samego domku i ukłoniwszy się grzecznie, pan Poncet stanął. Dopiero wpatrzywszy się rozśmiała się Józia sama ze siebie, bo zbliżka już od razu zrozumiała, co to było?... A była to szkoła japońska! W głębi, przed malutką szkatułką podłużną czyli tém co w Japonii stanowi

stolik, siedział na piętach poważny Japończyk, nauczyciel, naokoło, przy takich samych stołkach, siedziały tak samo dzieci jedno przy drugim, a każde z nich było podobne do stożka, albo kretowiny, bo tak istotnie trochę wyglądał Japończyk, gdy siedzi owinięty w zwój swęj sukni.

(d. c. n.).

### ZAGADKA HISTORYCZNA (K. G.).

W pierwszej połowie XIV wieku panował monarcha, posiadający nierozległe, ale zamożne i silne królestwo, które stając się coraz bogatszym, nazwę kwitnącego przybrało: Prowadząc wojnę z zakonem, mieszkającym w jego kraju od r. 1240, utracił prowincją bogatą z wielkim niezadowoleniem narodu, ale natomiast odzyskał dwie inne. Po skończeniu tej wojny, wszedł w układ z sąsiednim monarchą, od którego odzyskał księstwo i zrzeczenie się tytułu króla; sam zaś utracił nazawsze prawo do posiadania jednego ze znaczniejszych miast. Pamiętny jest ten król przez przyłączenie księstwa do swojego kraju, nadanie praw narodowi, które zebrane w jedną księgę, nazwę od łacińskiego wyrazu noszą i założenie uniwersytetu, w jednym z większych miast, które od czasu panowania tego monarchy zostało stolicą jego królestwa. Umarł przeżywszy lat 60, panował lat 37, na nim zakończyła się dynastia, przez 528 lat rządząca krajem. Nie mając potomka po mieczu, mianował następcą swego krewnego, za zgodą całego narodu. Pochowany w stolicy, otrzymał nazwę Wielkiego. Jak się nazywał ów król?

Rozwiązania do Nr. 41-go

**Zagadki:**

Niedźwiedź.

### Łamigłówki liczbowej:

Lenartowicz.  
Lew  
Noc  
Lato  
Etna  
Azot  
Tlen  
Wiatr  
Wino  
Towar  
Narew